

cach, znajdowałem później w bardzo wielu źródłach.

Dawni kronikarze często opisywali wielkie i cudowne znaki na niebie, które w większości przypadków okazywały się zorzą polarną. Dzisiaj trudno ją sobie wyobrazić w Zielonej Górze, ale przez półtora stulecia była powszechna.

Z kolei dzisiejszy kronikarz pewnie odnotowałby wichury i niezwykle ciepłe zimy.

Inna rzecz, która mnie bardzo ciekawi, to ludzie, którzy mieli jakiś wpływ na dzieje. Np. Bartłomiej Pitiscus. Jemu zawdzięczamy przecinek w zapisie ułamków dziesiętnych. Jako pierwszy użył terminu trygonometria. Pochodził stąd, ze Słonego. Sam pisał o sobie, że był zielonogórzaninem.

W Słonecie zdaje się, że była instalacja mu poświęcona.

– Tak, tam go pamiętają.

Myśli pan, że ta książka spowoduje, że się zaczniemy interesować takimi historiami?

– Zainteresowanie dziejami Zielonej Góry rośnie od kilku lat. Widać to po dużej liczbie publikacji, po popularności stron internetowych poświęconych przeszłości miasta. My tak naprawdę dopiero teraz tę przeszłość odkrywamy. W PRL-u historię niemiecką zajmowano się raczej z rzadka i z pewną niechęcią. Po części z powodów czysto politycznych. Taki wysyp publikacji i badań, nowych publikacji, obserwujemy dopiero od ostatnich kilkunastu lat.

Pan miał trochę łatwiej. Pański ojciec Wiesław Myszkiewicz, był szefem działu historycznego muzeum.

– Opowieści ojca to był początek. Wtedy jeszcze nie za bardzo można było o tym poczytać. Ojciec miał też talent do opowiadania historii. Niekoniecznie tej oficjalnej, tylko wybieral to, co mogło ludzi zaciekać. Czasem to były opowieści zabawne, czasem groteskowe.

Momentem, który mi mocno utkwil w głowie, była opowieść o rzece. Ojciec opowiadał mi o Złotej Łączy. Że miasto musiało być zbudowane nad jakąś rzeką. I że ona cały czas jest, płynie pod naszymi stopami, pod powierzchnią jezdnii i chodników. Na początku to było dla mnie czymś bardzo dziwnym i niespotykanym. Ale też bardzo fascynującym. Mam wrażenie, że wtedy, w późnym dzieciństwie, chyba za bardzo jeszcze w to nie wierzyłem. Ta rzeka jest czymś symbolicznym. Jest jak ta przeszłość, jak wiedza, które są tuż obok, ale na co dzień nie wchodzi w zakres naszej masowej wyobraźni, naszego myślenia i wyobrażeń o mieście.

Tata zabierał pana na wycieczki po mieście?

– Pamiętam, kiedy w dzieciństwie pokazał mi stanowisko archeologiczne. Wtedy trwały prace w okolicach dawnego więzienia, dzisiejszej siedziby kurii biskupiej. Była koncepcja, żeby powstało tam muzeum historii Zielonej Góry. Kiedy wszedłem do wykopu, który był bardzo głęboki, a może po prostu taki mi się wydawał, bo byłem wtedy mały, ojciec pokazał mi, jak dzieje miasta układają się warstwami. To było niesamowite doświadczenie, bo nagle wszystko było widać. Warstwy starych bruków, im głębiej, tym coraz starszych. To wyglądało jak taki wielki przekładaniec. Każda warstwa miała trochę inny kolor i inną strukturę. Warstwy, które powstały po pożarach, to były czarne, smoliste krechy. Nagle zobaczyłem przed sobą pokłady dziejów. To dziś to pamiętam. I to wszystko tam jest. Jak obserwuję, jak teraz rekonstruujemy historię Grunbergu, mam wrażenie, jakbyśmy dopiero teraz dopasowywali klucz do zamka.

Kiedy zacząłem robić trochę szerszy projekt, czyli „Paprochy Historii”, to postać ojca w jakimś sensie tam uwieczniłem. Wymyśliłem, że przewodnikiem do dziejach zielonogórskich będzie Jerzy Paproch, czyli fikcyjny kustosz zielonogórskiego muzeum, a przy okazji podróżnik w czasie. Jest to postać bardzo mocno wzorowana na ojcu.

Na ile jest pan podobny do taty, jeśli chodzi o zainteresowanie historią Zielonej Góry?

– Myślę, że jest to dosyć zbliżone. Z różnic, interesują mnie aspekty metafizyczne. Taką duchową tożsamość miejsca, genius loci Zielonej Góry. Staram się też tropić pewne zbiegi okoliczności i wydarzenia, które się na przestrzeni dekad powtarzają.

Ja nie jestem historykiem, w przeciwieństwie do ojca. Dążąc dzieje Zielonej Góry, szukam przede wszystkim opowieści, ciekawych historii. One też są dla miasta bogactwem naturalnym. W Zielonej Górze złożyła nam bardzo bogate, ale wciąż jeszcze nie do końca odkryte. Choć to się zmienia. Jeszcze kilka lat temu Zielona Góra pojawiała się w beletrystyce i twórczości literackiej dosyć sporadycznie i raczej lokalnie. Z kolei w ciągu ostatnich kilku lat ukazały się książki, które zyskały sobie popularność na arenie ogólnopolskiej. Chociażby powieści Zofii Mąkosy, Przemysława Piotrowskiego, Krzysztofa Koziołka. To już nie jest literatura czysto lokalna, a zielonogórskie motywy jak najbardziej sobie radzą wśród krajowych czytelników.

Uważam, że to, co wydarzyło się w naszej historii, jak najbardziej może być naszym to-

warem eksportowym. Po części tak właśnie widziałem „Krew Bachusa”, jako potencjalny zbiór inspiracji dla przyszłych twórców. Zbiór fajnych historii, którymi możemy się pochwalić.

Są miasta, które bardzo silnie istnieją w sferze literatury czy sztuki. Na początku głównie przez tę sferę poznajemy Paryż, Kraków czy Nowy Jork. I właściwie nie ma żadnych powodów, żeby Zielona Góra nie poszła w ich ślady.

Spotyka się pan ze stwierdzeniem, że ta historia Zielonej Góry jest nudna i tu nie ma nic ciekawego?

– Tak, ale najczęściej wtedy, gdy rozmówca jej po prostu nie zna. Niestety, raczej mówią tak zielonogórzanie. Turyści, którzy przychodzą do muzeum, z założenia chcą swoją wiedzę pogłębić, czegoś się dowiedzieć i coś zobaczyć.

Staram się na różnych frontach zmieniać takie myślenie o nudnej przeszłości. Weźmy chociażby Fantazje Zielonogórskie. Projekt, który od 11 lat realizujemy w ramach Zielonogórskiego Klubu Fantastyki Ad Astra. Chcielibyśmy stworzyć zbiór opowiadań, fantastykę skierowaną do ogółu. Przyjęło to ostatecznie formę ogólnopolskiego konkursu literackiego, który Ad Astra organizuje co roku. Do dzisiaj na półkach mamy już 10 tomów Fantazji Zielonogórskich, a w tym roku ukaże się 11.

Co ciekawe, większość tekstów na konkurs przychodzi spoza Zielonej Góry. Ten projekt bardzo się udał. Naszym tropem poszło też kilka innych miast, tworząc podobne przedsięwzięcia. Kiedy gdzieś pada pytanie o pokazywanie miasta przez literaturę, to najczęściej Fantazje są pierwszym przykładem kojarzonym z Zieloną Górą. Po tym, jakie opowiadania do nas wpływają, widzimy, jak w ciągu kilku lat wiedza o Zielonej Górze rośnie. W pierwszych edycjach dostawa-

liśmy opowiadania na takie dyżurne tematy: Winobranie, żużel i czarownice. Później z roku na rok ta paleta się poszerzała. Z roku na rok tekstów jest też coraz więcej.

Zastanawia się pan, co by było, gdyby...?

– O tak (śmiech). Jednym z takich momentów był pożar, czy – jak niektórzy twierdzili – spalenie fabryki Cockerillów w 1833 r. Znajdowała się przy dzisiejszej ul. Wrocławskiej, u stóp Wzgórza Winnego. John Cockerill jest kojarzony jako jeden z ojców rewolucji przemysłowej w Europie. W Zielonej Górze szczęścia nie miał. Jego, jak na owe czasy, bardzo nowoczesna fabryka spłonęła niespełna rok po otwarciu. I na tym interesy Cockerillów w Grunbergu się zakończyły. Natomiast znając inne jego realizacje, widać, jak duży wpływ wywarł na tę część Europy. Jego przedsiębiorstwo istnieje zresztą do dziś, chociaż teraz zajmuje się już raczej produkcją militariów. Gdyby zakład przetrwał w Grunbergu, na ile zmieniłby miasto? To jest bardzo ciekawe pytanie. Całkiem możliwe, że wtedy byłoby to przedsiębiorstwo na miarę i skalę historii późniejszych zakładów Beuchelta. I znowu pytanie: Tylko czy wtedy powstałyby zakłady Beuchelta (śmiech)?

A gdyby nie było II wojny światowej i zmiany granic, to jakim miastem byłaby dziś Zielona Góra?

– Biorąc pod uwagę, jakim była w latach 40., to zaryzykowałbym tezę, że nadal byłaby miastem przemysłowym. Wtedy wyglądałaby zupełnie inaczej. Zapewne nie stałaby się ośrodkiem uniwersyteckim, jak mamy to dzisiaj.

Pański 9-letni syn czytał książkę?

– Bardziej przegląda, ale jest zainteresowany.

Można ją polecić jako prezent dla 10-lata na Dzień Dziecka?

– Nie wszystkie opowieści, które tam zawarłem, są wesołe i zabawne. Opowiadam tam też o tych ciemnych kartach historii miasta. O nieszczęściach związanych z wojną, o procesach czarownic, okresie nazistowskim, gdzie działały się tutaj rzeczy naprawdę straszne. Z Grunbergu wyruszył chociażby najdłuższy marsz śmierci.

Historia taka właśnie jest, że wszystko się w niej miesza. I groza, i żarty. I zagadki. Jeżeli chodzi o zagadki, to starałem się też dać własną odpowiedź na niektóre pytania, np. na kwestię nazwy „Prasiae Elysiorum”, wspomnianą przez kronikarza Joachima Cureusa w 1571 r. O tym dywaguje się od dłuższego czasu. Każdy właściwie dochodzi do trochę innych wniosków. Moje też są trochę inne niż autorów zajmujących się tym tematem. ●

Ojciec opowiadał mi o Złotej Łączy. Że miasto musiało być zbudowane nad jakąś rzeką. I że ona cały czas jest, płynie pod naszymi stopami, pod powierzchnią jezdnii i chodników

IGOR MYSZKIEWICZ